

Wichry wojny. Mój Tata. Reportaż napisany w 2007 roku.

Wojenny życiorys mojego taty jest jak niesamowity scenariusz do filmu. Chciałabym Ci przedstawić jego historię i przywołać pamięć tamtych dni.

Na początek słowo wstępu... Mój tata, Zygmunt, był mężczyzną o bardzo silnej osobowości. Zawsze miał swoje zdanie, etyczne wartości i niezmiennie poglądy. Pojmował świat zero-jedynkowo: albo coś było dobre albo złe, odcieni nie uznawał i przekonywaliśmy się o tym na własnej skórze.

Zdjęcie wykonane w Anglii podczas wojny.



Po wojnie wiódł z naszą mamą i nami, czyli czwórką dzieciaków, spokojne życie. Czytał dużo książek i przede wszystkim od czasu pobytu w Anglii marzył o motocyklu. Od nikogo nigdy nic nie pożyczał, choćby nie wiem jak bardzo czegoś nam brakowało. Honorowy, konkretny i pracowity. Złota rączka, miał zdolności techniczne, wiele rzeczy potrafił sam wykonać i prawie wszystko naprawić.

Pracował w laboratorium na kopalni KWK Siersza, szyb Włodzimierz, jako próbkarz galeny. W wolnym od pracy czasie malował mieszkania u ludzi, miał do tego dryg. Dźwigał do nich ciężką, dużą, drewnianą drabinę, żelazne wiadra, farby kredowe, szczotki i pędzle. Zarobione pieniądze odkładał i pewnego dnia wreszcie kupił wymarzony, czarny motocykl marki WSK. Z czasem wymienił go na lepszy model, czeską, czerwoną Jawę 250. Rajdował nią po okolicach, budząc podziw zwłaszcza u dzieci. Zabierał nas do lasu na grzyby i jagody. Las był drugim domem taty. W ciepłe miesiące przywoził stamtąd drewno, a jesienią codziennie jeździł na grzyby i zaprawiał do stoików szczególnie maślaki.

Dużo czasu spędzał w naszej dużej piwnicy, która skrywała niezwykle rzeczy. Wszystko tam było interesujące i panował w niej porządek. Był boks na węgiel, pod ścianą równo porąbane i ułożone drewno na opał, stół z imadłem, półki z narzędziami i wszelkie akcesoria do malowania.

Był też regał z konfiturami, które robiła mama, zaś w skrzyni, otulone kocem, drzemały kupione na zimę ziemniaki.

Kiedy byłam nastolatką, temat wojny często przewijał się w gazetach, radiu, telewizji i na akademiach szkolnych. Mieliśmy przesył tej historii. Tata również często snuł opowieści z okresu okupacji. Jako dziecko, słuchałam go z otwartą buzią, bo były mrożące krew w żyłach. Potem jakoś oswoiłam się z tymi faktami.

Jednak kiedy dorosłam na tyle, aby pojąć, jak ważny jest wojenny życiorys taty, postanowiłam go zapisać. Był już wtedy schorowanym człowiekiem, choć nadal pełnym energii. Pewnego dnia usiadłam z nim i poprosiłam, aby mi wszystko jeszcze raz, dokładnie od początku opowiedział. Tym sposobem powstał szkic dat i miejsc, które przeżył, na pewno nie na własne życzenie. A przegoniła go ta wojna po całej Europie!

Ja, 7 klasa podstawówki i tata.



Równocześnie podjęłam w jego imieniu starania, o wypłacenie mu przez Fundację Polsko-Niemieckie Pojednanie odszkodowania za przymusowe roboty na terenie Rosji, Niemiec i Francji. Tata nie wierzył, że dostanie jakąkolwiek rekompensatę. Wtedy też głośno w prasie huczała afera, bo członkowie zarządu tej szczytnej instytucji przyznali sobie premie po 300 tys. zł. A starzy, sponiewierani wojną ludzie umierali, nie doczekawszy się choćby symbolicznego zadośćuczynienia. Uparcie wysyłałam pisma gdzie tylko mogłam, aby wyegzekwować dla taty odszkodowanie za jego zszarpanie wojną zdrowie.

Problemem nie do przeskoczenia było jednak znalezienie świadków, bo wojenni koledzy rozjechali się lub poumierali. Nigdzie w archiwach ZBOWiD-u nie było najmniejszych śladów pracy taty na rzecz okupanta, choć miał legitymację kombatanta.

Do jedyne go źródła udało mi się dotrzeć dopiero po jego śmierci, gdyż nawet kiedy zmarł, nie ustawałam w poszukiwaniach. Tym cennym źródłem okazało się archiwum urzędu stanu cywilnego. Wydobyłam z niego pożytki kwestionariusz, który wypełnił tata w 1953 roku, gdy starał się o wydanie dowodu osobistego. Zasygnalizował w nim odręcznie kilka ważnych dat i miejsc swego wojennego życiorysu. O matko, to ja wysyłałam petycje do PCK i Niemiec, a dowody taty przymusowych robót były tak niedaleko. Szkoda, że nie doczekał tego dnia, zmarł dwa tygodnie wcześniej, w kwietniu 2002 roku.

Nie rozumiem, dlaczego ZBOWiD podawał mi adresy odległych polskich i zagranicznych instytucji, zamiast w pierwszej kolejności skierować mnie do USC. Ile jeszcze osób w podobny sposób niechcąc wprowadzono w błąd?

Wojenna opowieść Taty

Urodziłem się w grudniu roku 1919.

We wrześniu 1939 zmobilizowano mnie do Wojska Polskiego. Maszerowaliśmy z Katowic w kierunku Sosnowca na Wolbrom. W okolicach Kowla dowództwo opuściło nas i pozostawiło na pastwę losu. Każdy na własną rękę wrócił do domu, mój był wtedy w Szopienicach koło Katowic.

W październiku 1939 za odmowę Niemcom podpisania volkslisty, skierowany zostałem do pracy na kolei w Jeleniej Górze. Pracowałem tam prawie dwa lata, do czerwca 1941. Podczas pracy na torach uległem wypadkowi i z pogruchotaną ręką odesłano mnie do domu. Kiedy wydobrzałem, przydzielono mnie ponownie do pracy na kolei, tym razem śląskiej. Cieszyłem się, bo blisko był mój rodzinny dom.

W lipcu 1941 wezwano mnie do urzędu pracy i wręczono bilet do Poznania. Formowano tam pociągi robocze Wehrmachtu, tak zwane bauzugi. Były to składy wagonów z piętrowymi łózkami. Zatrudnieni robotnicy, werbowani byli z całej Polski i pod czujnym okiem esesmanów usuwali szkody po bombardowaniach.

Bauzug - pociąg roboczy, nowy dom taty.



Z Poznania zawiozły nas te bauzugi na tereny Rosji do Lasów Katyńskich i Orszy. Pracowaliśmy przy naprawianiu torów pod nieustannym ostrzałem samolotów sowieckich i niemieckich. Moim nieodłącznym towarzyszem był głód i strach. Nigdy nie wiedziałem, czy przeżyję do wieczora lub do następnego dnia.

W wagonie było ciepło tylko wtedy, gdy skostnieni od mrozu i zdesperowani odważyliśmy się pobiec do lasu po drewno na opał. Granaty fruwały nad naszymi głowami, wybuchały w niemożliwych do przewidzenia miejscach, paraliżowało nas to, co tam widzieliśmy.

Rosyjskie zimy dawały ostro w kość. Ziemia do przekopania pod torami była jak skała, a w rytmie detonacji i odgłosów kilofów waliły nasze serca.

Do pracy wychodziliśmy o świcie, a wracaliśmy o zmierzchu w składzie mniejszym niż rano, koledzy ginęli od kul, umierali z wycieńczenia i chorób.

Jedliśmy zazwyczaj ziemniaczane łupiny. Rarytasem był chleb, a zupa to zbyt ładne określenie tego, co mieliśmy w blaszanych miskach.

Podtrzymywaliśmy się wzajemnie na duchu i modliliśmy o jak najszybsze zakończenie tej durnej wojny.

Cały czas marzyłem o ucieczce. Myśl o domu i talerzu gorącej stawy była dla mnie jak piękny, nieziszczalny sen, marzenie. Szukałem wśród kolegów chętnych, którzy też chcieliby wyrwać się z tego piekła.

Kiedy pewnego dnia w bauzugu wybuchł pożar, uznałem, że to najjaśniejszy znak od Boga, żeby wiać.

Do Polski uciekliśmy z Władkiem. Bez dokumentów i prawie bez pojęcia, w którą ruszyć stronę. Bez wyobraźni czym może skończyć się nasza brawurowa decyzja.

Zanim po tygodniu dotarłem do domu, już wówczas do Chrzanowa, umierałem ze strachu i zimna wiele razy. Śmierć zaglądała nam do oczu przez podziurawione deski bydlęcych wagonów, które na szczęście oddalały nas od tamtego kosmaru.

Nie zawsze mieliśmy rozeznanie, dokąd jedziemy. Przyświecała nam tylko jedna myśl: byle jak najdalej od Rosji, od tych przeklętych bomb i mrozów.

Docieraliśmy do jakiejś stacji, przeczekiwaliśmy dzień w lasach, a gdy zapadał zmrok, zakradaliśmy się do towarowych składów i jechaliśmy dalej, przed siebie.

W brudzie, poczuciu grozy całej tej sytuacji, ale ze świadomością, że do domu.

Władka złapali. Nawet nie wiem, w jaki sposób. Nieznany mi jest jego los. Niemcy byli wszędzie, a ja jak szczur chowałem się w każdą dziurę, żeby uniknąć ich czujnego wzroku. Wśród Polaków byli też konfidenci, to tylko w ekstremalnych sytuacjach zwracałem się do nich o pomoc.

Po tygodniu tułaczki, cały w gorączce, wycieńczony do granic możliwości, nareszcie dotarłem do Chrzanowa i mojego wymarzonego domu. Miałem więcej szczęścia niż rozumu.

Wolnością cieszyłem się dwa dni. Potem do drzwi załomotali zawiadomieni o mojej ucieczce gestapowcy. Doczekali się na mnie. Zabrali na przesłuchanie. W celi przesiedziałem trzy miesiące. Każdego dnia czekałem na ten najgorszy dla człowieka wyrok.

W czerwcu 1942 w katowickim sądzie odbyła się rozprawa. Za ucieczkę z Katynia zostałem skazany na rok ciężkich robót.

Czy może być gorsza praca, niż kucie kilofem w zamrożonej ruskiej ziemi pod przelatującymi bombowcami? Okazuje się, że tak. Zostałem przewieziony do

zamkniętego i dobrze strzeżonego obozu pracy przy Hucie Bobrek. Trzymiesięczny okres spędzony w areszcie skrupulatnie gestapo, z niemiecką dokładnością odliczyło mi od wyroku. Pozostałe 9 miesięcy były dla mnie następną szkołą przetrwania.

Pracowałem od świtu do nocy przy martenowskich piecach. Głodowe racje żywnościowe i praca ponad ludzkie siły wycieńczyły mój organizm. W tym czasie ja, rosty i silny kiedyś mężczyzna, ważyłem 40 kg.

Najgorsze jednak były dla mnie naloty. Huta, jako obiekt strategiczny, była często bombardowana. Wtedy nie patrząc, czy dosięgnie mnie kula z karabinów pilnujących nas żandarmów, przerażony uciekałem za mury huty i w polu obserwowałem przebieg nalotu. Niemcy już na tyle mnie znali i wiedzieli, że to jest tylko mój paniczny strach i zamelduję się zaraz po odwołaniu alarmu. Niektórzy mnie nawet lubili, jeśli to może być pociechą w takich traumatycznych czasach. Kiedy już było po wszystkim i wracałem do obozu, kiwali złowrogo palcem i wołali: Sigmont, faflukter donner weter! Co ty wyprawiasz!

Ani mnie, ani im, nie było wtedy do śmiechu.

W kwietniu 1943 po odbyciu wyroku, wypuścili mnie i wróciłem do domu. Miesiąc pozwolono mi lizać rany na ciele i duszy.

W maju 1943 otrzymałem bilet do kolejnego piekła. Miałem zameldować się w Poznaniu, skąd przedtem w 1941 jechaliśmy bauzugiem do Rosji. Czekał mnie wyjazd na roboty kolejowe, tym razem do Niemiec.

Kiedy z tobołkiem szedłem po peronie, nagle usłyszałem znajome głosy: Zygmunt, co ty tu robisz!? Zdębiałem, kto mnie tu może znać?

W oknach wagonu, zdumiony, zobaczyłem swych kolegów z bauzugu katyńskiego! To byli moi towarzysze spod Orszy! Byłem w szoku, że ich tu znowu spotkałem.

Zaczęliśmy rozmawiać. Okazało się, że ten mój poprzedni bauzug, z którego rok temu uciekłem, przekierowano teraz z Rosji do Niemiec. Jechali nim ci Polacy, którzy przeżyli bombardowania katyńskie. Czyli wróciłem do nich jak bumerang. Tyle, że oni z balastem ruskiej zimy, a ja z ciężarem karnego obozu, który chciałem raz na zawsze wymazać z pamięci.

Wyruszyliśmy na niemiecką poniewierkę.

Dotarliśmy do Berlina.



W Berlinie nadal usuwaliśmy spowodowane nalotami kolejowe szkody. Warunki mieliśmy teraz lepsze, bo nocowaliśmy na peronach metra, tam było cieplej. A jak nie było, to rozgrzewaliśmy się koniakami konspiracyjnie wykradzionymi z niemieckich transportów. Popularna wówczas między nami i Niemcami była wymiana towarowa: my im dawaliśmy kradzione papierosy, a oni w rewanżu swój przydział czekolady. Potem tak się wycwaniliśmy, że ze środka tutki wysypywaliśmy cenny tytoń i podmienialiśmy go na drobno posiekane śmieci. Tytoniem nadsypywaliśmy tylko koniec i początek papierosa. Kiedyś uradowany, że Niemca zrobiłem w konia, otworzyłem z radością jego tabliczkę czekolady i skosztowałem. O mało zębów nie złamałem. Sprytny Niemiec ulepił ją z gliny i pomalował na brązowo. Bruner wykręcił mi numer. Były takie komiczne sytuacje, częściej jednak towarzyszył nam strach i tęsknota za domem.

W Berlinie pracowałem pięć miesięcy.

Ja maturzystka i dzielny tata.



W październiku 1943 skierowano nasz bauzug na tereny Francji, najpierw do Nantes, a potem do Rouen. Nadal wymienialiśmy podkłady kolejowe i nie nadające się do eksploatacji szyny. Zawsze mieliśmy przydzielony odcinek trasy i gdy wcześniej skończyliśmy robotę, mogliśmy wrócić do bauzugu, Niemcy byli czasem łaskawi. Śnił mi się chleb i dom. Wszyscy mieliśmy już dość takiego życia.

Pilnujący nas Niemcy byli różni, i wredni i sympatyczni. Nie wszyscy popierali tę wojnę. Zawsze jednak konsekwentnie przestrzegali dyscypliny i regulaminu. Czasem okazywali nam trochę litości i szacunku.

Byłem lubiany i to mi dawało większą szansę na przeżycie. Umiąłem grać na harmonii i ta muzyka pomagała nam przetrwać. Zawsze też miałem nosa, w którym transporcie jest wyjątkowo atrakcyjny towar. Nigdy nie wypłem ze zgryzoty tylu markowych koniaków, co wtedy.

W sierpniu 1944 prawie po roku pracy na okupowanych francuskich ziemiach, nadszedł upragniony dzień, bo wyswobodziły nas wojska amerykańskie. Serce miałem przepełnione radością, choć niebo było czarne.

Przewieziono nas do obozu dla internowanych, w okolicy Paryża. Mieliśmy tam ludzkie warunki i w miarę godziwe racje żywnościowe.

Zakochałem się. Moja dziewczyna była córką francuskiego rzeźnika. Jednak jej zaborczy, a może mądry ojciec, zabronił nam się spotykać. Nie potrafiłem walczyć z nim o tę miłość, ale mam z tego okresu miłe wspomnienia. Widać nie dane mi było związać swego losu z wędlinami.

W tym czasie we Francji, Belgii i Anglii formowano oddziały Wojska Polskiego.

We wrześniu 1944 po miesiącu pobytu w obozie dla internowanych zgłosiłem Amerykanom chęć wstąpienia do Wojska Polskiego. W transporcie, wraz z innymi rekrutami, zostałem przewieziony do Szkocji.

Zdjęcie z tego okresu.



W Szkocji wstąpiłem do I Baonu Grenadierów jako goniec motocyklowy.

Ten, chociaż nadal ciężki okres, zapisał się w mej pamięci niezapomnianymi kartami. Cieszyłem się, że jestem wśród Aliantów, miałem satysfakcję z wykonywania powierzanych mi rozkazów i mogłem, pał sześc, że pod ostrzałem wroga, ale jeździć na najprawdziwszym motocyklu z przyczepą!

Moja wojskowa służba w Anglii trwała dwa lata.

Cały czas targały mną uczucia, czy potem wracać do Polski, czy zostać w Anglii. Wielu z nas miało wtedy takie dylematy.

We wrześniu 1946 zostawiłem motocykl z przyczepą i wróciłem statkiem do Polski. To był jeden z najlepszych wyborów w moim życiu. Sponiewierany, ale w jednym kawałku, przywitałem się z matką i ojczymem.

Zniszczona wojną ojczyzna potrzebowała rąk do pracy. Najlepiej przeszkolony zostałem w remontowaniu torów, więc zatrudniłem się na kolei. Potem już do emerytury pracowałem na kopalni. Był to szyb Włodzimierz na Trzebionce, przy KWK Siersza.

Po wyzwoleniu poznałem Stasię, równie piękną jak córka francuskiego rzeźnika. Urodziła mi czworo dzieci, z którymi miałem trochę zmartwień, ale też dużo radości. Życie toczyło się nadal, ale już w wolnej Polsce. Często w niedostatku, ale razem w rodzinie i dwa razy do roku z szynką na świątecznym stole.

Wojenny okres pozostawił trwały ślad do końca mojego życia. I niech już nigdy ten czas nie wróci.

Tata, ja, mama.



Jawa 250 była miłością taty do końca. Jeździł nią do osiemdziesiątego roku życia, wzbudzając podziw sąsiadów i uśmiechy ludzi spotykanych po drodze. Zawsze o ten motocykl bardzo dbał. Był on symbolem wolnego ducha, energii i młodości taty, której nigdy nie utracił.

Nadal poszukuję osób i wszelkich publikacji dotyczących bauzugu, w którym żył i pracował tata, zaczynając od Poznania, Orszy, Lasów Katyńskich, a skończywszy w Berlinie i Francji. Ktokolwiek z Was coś wie, proszę o kontakt.

Renata Bednarz

renabed@poczta.fm

www.renatabednarz.pl